

Zabiorę się i wrócę

"Kilka lat temu odszedłem od Żony. Powinienem chyba powiedzieć: "porzuciłem Ją". No właśnie, jak wiele zależy od słów. Wiem, to banalna refleksja, ale trudno, trzeba ją powtórzyć, bo się jej doznało na własnej skórze. Uprzytomniłem to sobie podczas rozmów z Żoną w czasie odchodzenia/porzucenia. Ja używałem tego pierwszego słowa, Ona -drugiego. Złapałem się na tym, że używam właśnie takich słówek, jak: "odejście", "wybór innego życia", "miłość do kogoś". A jednak to było: "porzucenie", "ucieczka", "zdrada". Porzuciłem więc Żonę na prawie pół roku. Zaczęło się od tego, że po kilku latach małżeństwa zauważać zacząłem coraz mocniej, iż podobam się kobietom. Żyliśmy z Żoną w miłości. Niestety, nie mogliśmy mieć dzieci. Przyjęliśmy ten fakt. Nigdy z tego powodu nie było między nami napięć. No ale były te inne kobiety. Prawdopodobnie dlatego coraz mocniej zwracałem na nie uwagę, że z dzieciństwa i młodości wyniosłem strasznie niskie poczucie własnej wartości. Nie umiałem w naszym małżeństwie dostrzec tego wymiaru, który oznaczał, iż oboje z Żoną mamy wielką wartość jako pojedyncze osoby i jako złączeni w jedno przez sakrament. Niesione przez życie trudne sytuacje w naszym związku, nieuchronne kłótnie, przypływy i odpływy egoizmu - wszystko to wywoływało u mnie jakieś gigantyczne załamania wiary w siebie. Nie umiałem w takich momentach modlić się, nie przyszło mi też do głowy, że warto by skorzystać z fachowej pomocy - psychoterapeutycznej. Ucieczki szukałem w wpatrzonych we mnie oczach innych kobiet. Najpierw były to spotkania na kawę, rozmowy, kino... Coś mnie trzymało z dala od jakichś radykalnych kroków. Przyszedł moment (wyjazd służbowy na dłużej), że rozmowy i przelotne spotkania przestały wystarczać. Ale one odegrały swoją smutną rolę. Wyrąbały ścieżkę do niejasnych kontaktów z kobietami, z którymi nie umiałem zawrzeć czystej przyjaźni. Pojawiła się kobieta, wydawało się, we mnie wpatrzona w sposób permanentny. Miała zresztą na koncie nieudane małżeństwo, w fazie rozpadu. Nie chcę tu jednak pisać o jej kłopotach, bo po pierwsze: nie mam do tego prawa, po wtóre: nie chcę, by wyglądało to tak, że się jakoś usprawiedliwiam. Zdradziłem Żonę. Błado brzmi słowo "zdradziłem" wobec tego, co się wtedy działo w duszy. Tego piekła nie zapomnę nigdy. Porzucam i wracam do Tej, z którą zdradziłem Żonę. Spowiadałem się, modliłem, a potem popadałem w kolejne zdrady. W końcu postanowiłem z Nią być. Pamiętam doskonale te rozmowy z Żoną, kiedy "przeprowadzałem" odejście. Najgorsze było w nich to zakłamanie, szukanie na siłę powodów, głuchota na propozycje Żony, by poradzić się osoby duchownej albo terapeuty. Wtedy działał we mnie tylko jeden żywioł - egoizm i pycha. Straszne! Koszmarne! Boli do dziś. Nigdy tu, na ziemi boleć nie przestanie. No i gdy zacząłem być z inną kobietą, pojawiły się spory, napięcia, kłótnie, mające to samo tło, co w czasie bycia z Żoną. Tyle, że spotykałem się z o wiele ostrzejszymi reakcjami i popadałem w straszliwe załamania. To Ona skłoniła mnie do pójścia do psychoterapeuty. I to potem miało się okazać pomocne. Bo najpierw nie było. Wytrwałem tak z pół roku. Z każdym dniem, widząc coraz większą swą nędzę, coraz mocniej dostrzegając strasznie mi obce cechy w Tej, z którą wówczas byłem. Z czasem pojawiło się coś zdumiewającego i jednak pięknego. Zaczęło się od tego, że wpadałem do Żony po różne swoje rzeczy (staralem się, by nie było Jej wtedy w domu, by jeszcze mocniej nie ranić, ale to była złuda, że w ten sposób niby mniej ranię). Pewnego razu zabrałem moją Biblię. Wpisywałem w niej, od czasu naszych zaręczyn z Żoną, ważne fakty z życia rodziny, przyjaciół. Zabrałem więc Pismo o otwarłem na tych notatkach. Był tam jedyny wpis ręką Żony: data, kiedy ją opuściłem. Tylko data i miejsce. Żadnych komentarzy. Czulem, że popełniłem straszny błąd. Dusza zapragnęła oczyszczenia. Zacząłem czytać Ewangelię i psalmy. Tłumiłem jednak w sobie chęć jakiegokolwiek odezwania się do Żony. Bałem się, że mnie nie przyjmie. To było święto Bożego Ciała. Spacerowałem po jednej z dzielnic mego miasta. Co i rusz natrafiałem na procesje eucharystyczne. Nie umiałem się do nich

przyłączyć, ale spowodowały to, że wieczorem poszedłem na mszę świętą. Było już późno, gdy wyszedłem z kościoła. Bardzo chciałem pojechać do Żony. To był moment, w którym Syn Marnotrawny w przypowieści Jezusa tak myślał: "Iluż to najemników mojego ojca ma pod dostatkiem chleba, a ja tu przymieram głodem. Zabiorę się i pójdę do mojego ojca...". Powrót do Żony splótł się z powrotem do Boga. Ona mnie przyjęła. Wybaczyła. Potem była spowiedź święta i lekkość duszy, na której opisanie nie znajduję słów. Od kilku lat jesteśmy z Żoną. Oczywiście, ślady przeszłości dają się czasami mocno odczuć. To, że się raz zerwało węzeł, zostawia blizny, które czasami mocno, bardzo mocno bolą. Modłę się też za tamtą kobietę, skrzywdzona również przeze mnie. Całe moje życie, całe nasze z Żoną małżeństwo ma tylko jedną rację bycia. Nazywa się: Boże Miłosierdzie jest bez granic. Trzeba walczyć o każdy dzień. Ale naprawdę WARTO!"

Ignacy (nazwisko znane redakcji)
Za: "Zeszyty Karmelitańskie" nr 1/2007